№ 26. Warszawa, dnia (19 Czerwca) 1 Lipca 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . **rs. 1**
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . **rs. 1.25**, półrocznie . „ **2.50**, rocznie . . „ **5.—**

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.**

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie** Kwartalnie **flor. 1.80,** Na prowincyi **flor. 2.20.** **w Poznaniu** kwartal. **mr. 3**, na prowincyi **3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy: **Księgarnia Polska Wiktora Templowicza** w Poznaniu Hotel Francuzki. **Zmiana adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEN: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50**. Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

— Ja do waszej paczki zajrzałam nieumyślnie—rzekła głosem nie tyle gniewnym, co na gniew silącym się.

Cieński, zmilczawszy, zabrał się do szukania paczki, i nie bez trudności znalazł ją na fotelu, pod porzuconem niedbale okryciem żony. Wyciągając, bez zbytniego pośpiechu, obmacał ją dokładnie palcami i przekonał się, że zawiera—książki.

Nie mógł powstrzymać cichego, Mefistowego śmieszku.

Śmieszek ten brzmiał jeszcze w jego głosie, gdy zbliżywszy się do parawanu, mówił:

— Proszę was... oto paczka...

Ponad parawanem ukazały się obnażone poza łokieć ręce — kształtne, choć słabo jeszcze rozwinięte ręce młodej kobiety, od których atłasowo gładkiej skóry światło świec odbijało się połyskliwie.

Cieńskiemu przypomniały się z fresków egipskich nagie ramiona młodych kapłanek, śpiewających hymn do wschodzącego słońca przy muzyce harf...

Przypomnienie to rozmarzyło go na chwilę — o ile w ogólności mogą rozmarzać się uczeni i erudyci tego, co on, kalibru.

— Nie dziwię się waszej pomyłce — dodał, wręczając paczkę, a śmieszek szatański nie przestawał syczeć w jego głosie.

— Dlaczego? — spytała Wanda, już o wiele łagodniej.

— Paczki tak są do siebie podobne...

— Z wierzchu.

— I we środku.

Na gniew nie było już miejsca. Zrozumiała to Wanda i rzekła żartobliwie:

— Winniśmy oboje — musimy więc nawzajem udzielić sobie rozgrzeszenia.

Cieński zaśmiał się cienko.

— To i lepiej! — rzekł. — Teraz już każde będzie mogło czytać, po muzeach łazić, ze specyalistami gadać i studyować — ile się zmieści. A przyznajcie, że bez tego wszystkiego było nam obojgu dyablo nudno...

— Przyznaję. Oto wasza paczka. Róbcie z nią, co się wam podoba. Ja zabieram się do swych skarbów. Mam tu zwłaszcza jedną świeżutenką rozprawę, która mnie ciągnie jak magnes. „O kamieniach spadłych z księżyca“—pomyślcie tylko!

— W takim razie: dobranoc.

— Dobranoc.

Długo w noc paliło się światło u młodych małżonków. Nazajutrz prawie do południa drzwi ich pokoju były zamknięte.

Służba hotelowa przechodziła mimo tych drzwi na palcach, zamieniając znaczące uśmiechy...

Koledzy i koleżanki obojga Cieńskich zajęli się usłaniem wygodnego „gniazdka“ dla młodej pary podczas jej swobodnego bujania po prowincyi. Pozostawiona przez małżonków, a dość znaczna, jak na stosunki studenckie suma, znakomicie zadanie to ułatwiła.

Wynajęto mieszkanie w pobliżu Obserwatoryum, gdyż Wanda koniecznie tego sobie życzyła. Były tam trzy pokoiki, przedpokój, i jakaś nieokreślonego przeznaczenia komórka. Kuchni nie było, gdyż Cieńscy postanowili po dawnemu stołować się na mieście.

Z trzech pokoików, jeden przeznaczono na pracownię pana, drugi na pracownię pani; trzeci, leżący w pośrodku, stanowił miejsce neutralne i służyć miał za salonik do wspólnych pogadanek i do przyjmowania gości. Komórkę zajęła stale ugodzona posługaczka.

Dzięki draperyom z przeróżnych ciemnych i jasnych kretonów, oraz kwiatom, które w Paryżu są bardzo tanie, mieszkanko przybrało pozór strojny i wesoły. Salonik zyskał ozdobę z wynajętego pianina.

Uwzględnione też zostały i specyalne upodobania małżonków. W pokoju Wandy, koleżanki zawiesiły wielką i kosztowną fotografię nieba, świeżo wykonaną połączonem staraniem kilku instytucyj naukowych. Pracownię Cieńskiego przyozdobił posążek Buddy, który po oczyszczeniu z kurzu i odzłoceniu, zajął miejsce na przygotowanym umyślnie trójnogu z czarnego drzewa.

Pewnego wieczoru, gdy przygotowania były już na ukończeniu, dwaj posłańcy miejscy przynieśli na ręcznem nosidle duży obraz. Miał on być „zamówiony przez samą panią.“ Nie wdając się w dłuższe dochodzenia, obraz przyjęto i zawieszono w saloniku nad pianinem. Posiadał on ramy z kombinacyi czarnego i gorąco złotego pluszu, przedstawiał zaś coś środkującego pomiędzy majonezem z homara, wybuchem wulkanu i nagą kobietą.

Cieńscy powrócili wcześniej, niż się ich spodziewano. Jeszcze nie minęła całkowicie kanikuła, gdy zjawili się w Paryżu, otrząsając z obuwia proch podróżny, a wystawiając się na gorszą odeń kurzawę przeludnionego miasta.

Podniecenie nerwowe nie opuściło ani Wandy, ani Cieńskiego. Obejrzeli przelotnie swe „gniazdko,“ rozgościli się w niem szybko i niedbale, jakby to była izba hotelowa, i rzucili się natychmiast bez pamięci w odmęt studyów i rozpraw naukowych.

Specyalności ich nie miały pomiędzy sobą żadnych punktów stycznych, pociągnęły ich

przeto odrazu w strony przeciwne. Zaledwie stanęli na bruku paryzkim, rozeszły się ich myśli, uczucia i dążenia. Rozeszły się nawet poniekąd i ścieżki ich życia.

Przez pierwsze trzy dni nie zamienili prawie ani jednego słowa.

Czwartego dnia w porze rannej, odwiedził młodych małżonków znajomy lekarz — ten sam, co wyprawił ich nad morze i skazał na ścisłą dyetę umysłową.

Stary medyk z twarzą typu Berangerowskiego, o łysej czaszce i długich, białych, na kołnierz spadających włosach, skrzywił się ujrzawszy twarze swych pacyentów tak samo anemiczne i nienaturalnie ruchliwe, jak przed wyjazdem.

Wypowiedziawszy następnie kilka śmiałych żarcików, które wywołały rumieniec dziewiczej wstydliwości na lica... małżonka, zabrał się do ścisłego egzaminowania Wandy.

Egzamin nie wypadł świetnie. Skrzywienie na twarzy lekarza silniej się zaznaczyło; głos, którym zadawał pytania, nabrał gniewnej szorstkości.

— Widzę, że pan ze mnie niezadowolony— zauważyła Wanda, ściągając rozsznurowany przy egzaminie gorset.

— I z ciebie, i z was wszystkich!—mruknął medyk, któremu wiek i wysokie stanowisko naukowe dawały prawo traktowania po ojcowsku młodych pacyentek. — Przysiągłbym, że zamiast biegać boso po piasku, wyśpiewywać „tra-la-la“ i cmoktać się z mężem po całych dniach, trzymałaś nos utkwiony w drukowanej bibule...

Wanda odpowiedziała suchym śmiechem — nie śmiąc ani szczerze przyznać się, ani bezwstydnie zaprzeć.

— Źle, moja droga; szkaradnie, potwornie— gderał dalej stary. — Z mego niezadowolenia możesz sobie kpić, ale gdy rozgniewasz na siebie panią przyrodę, będzie nieszczęście. Z tą wielką damą niema żartów. Nie słucha ona żadnych wymówek, nie wchodzi w żadne układy. Biada ci, jeśli przed nią egzaminu nie złożysz. Choćbyś miała pakunek mądrości, dziesięćkrotnie większy od siebie, rzuci cię bez sądu na Hiobowy barłóg, albo wprost do grabarni!

Wanda ściągała brwi i przygryzała usta. Wreszcie odezwała się właściwym sobie, bezdźwięcznym, ale stanowczym, niedopuszczającym repliki, głosem:

— Czytałam, że ludzie uczeni żyją długo. Żądza wiedzy, jak każda wielka namiętność, wiąże silnie do życia.

Lekarz machnął ręką lekceważąco.

— Czytałaś, aleś nie zrozumiała — rzekł z naciskiem.—Prawda, że uczoność zachowuje człowieka, jak egipska żywica mumię, ale pod warunkiem, że będzie rozległą i wszechstronną. Człowiek naprawdę uczony — czy będzie nim Leibnitz, czy Kant, Spinoza lub nawet Schopenhauer — równie dobrze zna obowiązki względem swego ciała, jak względem umysłu. Właśnie dlatego, że uczony, szanuje ciało, bo wie, że to jego *famulus*, bez którego pracowaćby nie mógł. Każdy poznał dokładnie siebie samego, i każdy posiada swą własną sztukę życia, do warunków osobistych zastosowaną.

Wanda milczała, tłumiąc gniew. Nic jej tak nie drażniło, jak zaprzeczanie prawdom, które uznała za nieomylne. Tym razem rozdraźnienie zwiększała okoliczność, że w głębi duszy zmuszona była przyznać lekarzowi słuszność.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KORESPONDENCJA Z PARYŻA

O ubiorach.

27 Czerwca 1899 roku.

Moda wypowiedziała już ostatnie słowo swoje. Zabawy kwiatowe, wystawy sztuk pięknych, wyścigi konne w Longchamps, dały nam poznać wszystkie nowe pomysły, spoczywające dotąd w ukryciu. Zanim przystąpimy do szczegółów, rzućmy okiem na ogólny charakter tych nowości.

Jak już mówiliśmy, tuniki płaskie, bez podpięcia stały się modą panującą. Pod względem kolorów, popielaty w rozmaitych odcieniach przemaga nad innymi; wypełnia on całą gammę, zacząwszy od stalowego, aż do jasno-perłowego, graniczącego z białym. Inne nawet kolory, jak: błękitny, lila, zielony, zachodzą w odcień popielaty.

Co do kroju sukien, to głównie wpada w oczy, że spódniczka nadzwyczaj obcisła, przylega zupełnie do figury, okrąża płasko biodra, a rozszerza się tylko u dołu.

Stanik jest nad miarę długi, co może jedynie służyć dla bardzo szczupłych osób. Suknie te przeznaczone głównie do przechadzki; trudno wysiedzieć w nich długo na miejscu. Rękawy obcisłe od ramienia do ręki. Garnirunek spódnic pod tunikę składa się zwykle z jednego lub dwóch wolantów, krajanych okrągło, to jest przyszytych płasko, a rozszerzonych u dołu. Koronkowe tylko wolanty stanowią tu wyjątek.

Tuniki koronkowe bardzo modne, tak białe jak czarne i z niewarowych nici. Pierwszą nowość stanowi koronka *Cluny* dosyć gruba na oko, ale bardzo układna. Wymyślono nawet nową tkaninę, batyścik w różnych kolorach, przerabiany w białe paski ażurowe, naśladujące wstawki z tejże koronki. Ten batyst służy na tunikę, stanik i rękawy; spódnica do tego gładka fularowa w kolorze odpowiednim.

Okrywki powszechnie przyjęte różnią się tem tylko od peleryn, że płaskie na ramionach, przedłużone z tyłu, ścięte okrągło na przodzie, ogarnirowane są wolantem.

Wspomnijmy też tu nowość tegoroczną w okrywkach. Są to szaliki, sięgające poniżej kolan z leciuchnego kaszmiru we wschodnie palemki, z szeroką frendzlą u dołu, jakie noszono za pierwszego cesarstwa; widzimy je również z *crèpe de chine*, gładkiego albo w deseń. Niewiadomo jeszcze czy utrzyma się ta moda, gdyż nie łatwo nosić je z takim wdziękiem, jak to czyniła cesarzowa Józefina.

Kapelusze uległy także zmianom; forma ich bardzo rozmaita: jedne zachodzą na czoło, u innych rondko podniesione do góry. Na tem polega cała ich nowość, że pióra i kwiaty, położone niżej niż dotąd, nie nadają im piramidalnych rozmiarów.

Po tych ogólnych uwagach przytaczamy tu całkowite ubrania. Kilka z nich oglądaliśmy szczegółowo w pracowni pani Petit i Berthier (ulica St. Lazare 77), możemy więc opisać je z całą dokładnością.

Pierwsza suknia z *crèpe de chine*, w odcieniu błękitno-popielatym. Na gładkiej spódniczce idzie tunika długa, prawie do ziemi, wycinana w zęby faliste (ondulé). Przody zachodzą do lewego boku. Na zębach dana plisa z białego *crèpe de chine*, przytwierdzona w górze wąziuchną aksamitką czarną, na każdem zagłębieniu tworzącą liść potrójny. Stanik gładki, zapięty z boku, przedłużony nieco na przodzie, zakończony brzegiem białą plisą. Kołnierz biały otwarty, szeroko wyłożony, cały w zakładki, objęty falbanką zaplisowaną. Pod to plastron z jedwabnego muszlinu; fryzka spięta na różową kokardę.

Druga suknia blado-zielona (vert du Nil). Najprzód idzie spódniczka jedwabna, przybrana dwoma wolantami z koronki niewarowej; na to spada tunika z *crèpe de chine*, okrągła, bez rozcięcia. U dołu pięć plis, jedna nad drugą, tworzą wielki feston na przodzie, drugi w tyle. Stanik skrzyżowany na piersiach, w górze otwarty, cały w płaskie zakłady. Z pod wykroju wybiega plastron z białego muszlinu jedwabnego, zakończony u szyi takąż fryzką.

Do tej sukni przyrządzona okrywka z *crèpe de chine* bladó-lila (mauve), podcięta z przodu, przedłużona w tyle, ogarnirowana dwoma wolantami z koronki niewarowej. Nad tem dane trzy plisy. Wyłogi blado-zielone, ogarnirowane koronką, naszyte również trzema plisami; taki sam kołnierz nieco do góry podniesiony.

W tymże magazynie zwróciła uwagę naszą bardzo ładna suknia, przygotowana na tańcujący wieczór. Spódniczka z blado-różowej materyi, nagarnirowana u dołu w faliste zęby pięcioma ruszkami z muszlinu jedwabnego. Na to spada tunika z białej koronki Cluny. Cały jej przód zasiany w liście różowe atlasowe. Stanik wycięty, przybrany takimiż liśćmi. Rękawki z jedwabnego muszlinu, różowe, długie, namarszczone wpoprzek, zakończone w górze koronką. Od przodu do pleców idą przez ramiona rusze muszlinowe w rodzaju szelek.

Dodajmy tu, że *crèpe de chine* w tym roku bardzo modny, różni się tem od dawnego, że sztywniejszy, podobny raczej do jedwabnego batystu. Oprócz gładkiego widzimy też drukowany w drobny rzucik albo wermisel — zazwyczaj czarny.

Przejdźmy teraz do strojów, jakie zwróciły uwagę naszą na wyścigach konnych w Lasku Bulońskim.

Do najświetniejszych należy suknia z gładkiej materyi, w odcieniu perłowym. U dołu na pół łokcia od ziemi idzie plisa podniesiona z przodu w ząb szpiczasty. Z obu stron

tej plisy naszyta w odstępach wstawka Cluny szeroka na trzy cale. Stanik cały z koronki Cluny; na to płaska berta z materyi perłowej, objęta plisą, tworzy jakby bolero otwarte od strony ramion. Rękawy obcisłe, w górze koronkowe, poniżej jedwabne. U szyi wielka kokarda o dwóch puklach z jedwabnego muszlinu w blado-różowym kolorze. Kapelusik do tego słomkowy czarny, bardzo klarowny, z rondkami do góry odwiniętemi, podpięty różami. Z wierzchu idą dwa pióra strusie w perłowym odcieniu.

Inna niemniej ładna suknia z błękitnego fularu surah w rzucik czarny. Spódnica u dołu rozcinana w odstępach wysoko na łokieć. Przez te rozcięcia widać wolant czarny koronkowy; na to spada fularowa tunika, zakończona węższym wolantem czarnym, bardzo lekko namarszczonym. Stanik gładki, cały przeszywany wpodłuż wstawką czarną koronkową. U szyi takaż opaska podgarnirowana czarną koronką.

Dopełnia ubrania mały kapelusik czarny, słomkowy, spuszczony na czoło. Z jednej strony dwa czarne strusie pióra płasko położone, z drugiej egretka z czarnego muszlinu jedwabnego, niezbyt wysoka; pod spód z lewej strony wpięte polne róże.

Mniej strojna, ale niemniej gustowna suknia z tkaniny wełnianej, w popielatym odcieniu, mienionej z białym jedwabiem. U dołu spódniczki dany dosyć szeroki wolant, objęty aksamitką czarną; na to idzie tunika spięta na lewym boku, wycięta w zęby, tak u dołu jak i na spięciu. Zęby te zakończone czarną aksamitką. Stanik zupełnie gładki, otwarty w górze, obciska go poniżej gorsecik złożony z wstawek koronkowych Cluny, naszytych jedna przy drugiej, zwróconych w górę. Każda wstawka objęta aksamitką czarną i zaokrąglona u góry. Wygląda to jakby rozpięty wachlarz poniżej piersi i na plecach. Z pod otworu stanika wygląda szmizetka tiulowa, naszyta wpoprzek raz nad razem wązką koroneczką lekko przymarszczoną. U szyi odpowiednia opaska. Rękawy bardzo obcisłe, u ręki odwinięty płasko, szeroki mankiet Cluny.

Kapelusik do tego słomkowy, w kolorze naturalnym, bardzo mały, przybrany kłosami i makiem polnym. Rondko objęte brzegiem trzy razy, czarną wąziuchną aksamitką.

Zapiszmy tu nakoniec, że kapotki wszystkie mają dość długie szarfy z tiulu jedwabnego lub przezroczystej gazy białej, nie związane pod brodą, lecz tylko przerzucone. Woalka do tego odpowiednia.

Seweryna Duchińska.



„MARYSIEŃKA"

Portret historyczny.

(Dalszy ciąg).

Na nieszczęście, nowoujawnione dowody wytrącają mu z ręki wydobytą za honor damy szpadę. Waliszewski, który w swej zajmującej książce do tej sprawy powrócił, rozstrzyga ją w duchu poprzedników. Oto jego opowieść:

Gdy Marysieńka postawiła swoje warunki, po ustach królowej przemknął uśmiech, którego znaczenie biskup z Reziers (przedstawiciel Francyi) odgadł bez trudności. „Ta półwłoszka i ten pół-rzymianin rozumieli się doskonale; nie trzeba też im było długiego czasu do przygotowania komedyi, która miała Sobieskiego wszelkich skrupułów pozbawić. Urządzono pułapkę jak na Lubomirskiego—bez kata wszakże tym razem.

„Zgodnie z otrzymanemi wskazówkami, Astrea unikała Celadona w ciągu dni ośmiu, następnie przyjęła go w zajmowanym przez siebie mieszkaniu w pałacu Ogrodowym (późniejszym pałacu Kazimierowskim) zamieszkiwanym również przez królowę. Była połowa Maja; otwarte okna wychodziły na wielki ogród, pełen zapachu kwiatów i śpiewu rozkochanego ptactwa. Łatwo zgadnąć resztę. W chwili właściwej zjawiła się nagle w pokoju Marya Ludwika. Zdziwienie i gniew, wybornie odegrane; potok wymówek i słów gwałtownych, skandal, obraza boska, zniewaga królewskiego majestatu! Sobieski struchlał. Ten wielki człowiek, który umiał też bywać człowiekiem przebiegłym, nie mógł się nigdy pozbyć całkowicie pewnych naiwności. Osaczono go, przyparto do muru, palnięto mu ostre kazanie; trzy zwłaszcza słowa zagrzmiały najgłośniej nad uszami: honor, religia i—konieczność zadośćuczynienia. Poddał się. Była godzina jedenasta. O samej północy wprowadzono księdza. Był nim może spowiednik królewski Cieciszewski, którego następujący portret pozostawił nam ksiądz Palmier: „Człowiek pełen intryg, za które nieboszczka królowa dwukrotnie go z dworu wypędzała; znany jeszcze i z tego, że miał zawsze w piwnicy najlepsze wino, kiesę nabitą dukatami i dzielne konie w stajni; o którym wreszcie i to dodać wypada, że nie wyruszał w drogę inaczej, jak z wielkimi pistoletami przy siodle i szablą u boku." W kwadrans później Sobieski opuszczał pałac oszołomiony swą przygodą i mniej lub więcej prawidłowo ożeniony. Teraz miano go już w rękach. Należał on już — na co liczyła właśnie Marya Ludwika—ciałem i duszą... do kogo? Przedewszystkiem do wtajemniczonych w te skryte zaślubiny, których tajemnica gdyby została rozgłoszona, obruszyłaby na niego całą Polskę. Jakoż w samej rzeczy potulny i dający się kierować, opuścił w kilka dni później Warszawę, aby połączyć się z wojskiem i rozpocząć kampanię przeciw Lubomirskiemu..."

Opowieść tę popiera autor dowodami nieznanymi poprzednikom, a dobytymi przezeń z archiwum w Chantilly.

Czy wielki cień pada ztąd na pamięć Sobieskiego? Sądzimy, że nie. Padł on ofiarą najpierw cudzego podejścia, następnie własnego temperamentu, wreszcie... Amora. Ostatni wzgląd tłómaczy najwięcej. Wiele, bardzo wiele okoliczności łagodzących mieści się w tem jednem: był zakochany.

Ci, co wymagają, aby w sercach ludzi wybitnych miłość ustępowała miejsca uczuciom „wyższym," mają niewątpliwie słuszność — dlatego jednak tylko, że biorą miłość w znaczeniu powszedniem. Ale miłość Sobieskiego nie była powszednia. Ten, co miał pod Wiedniem okryć się chwałą nieśmiertelną, był w równym stopniu: wielkim bohaterem i wielkim kochankiem. Miłość jego miała rysy klasyczne, które stawiają go obok takich koryfejów miłości jak: Leander, Abellard i Romeo.

Nawet gdyby wawrzyn nie uwieńczył jego czoła, należałaby mu się dobra i trwała pamięć, jako ideałowi rozkochanego męża, albo raczej męża i kochanka w jednej osobie. Do ideału tego ileż żon wyciągać będzie ręce, wzdychając!

I nic to Sobieskiemu i jego miłości nie ujmuje, że Marysieńka, ściśle rzecz biorąc, istniała tylko w świecie wyobraźni i gorących pragnień. Jeżeli szlachetny rycerz z Manszy mógł był widzieć Dulcyneję w dziewce folwarcznej z Tobozo, to wyższemu odeń Janowi III przysługiwał tembardziej przywilej przemieniania ludzi w aniołów, a zalotnych i bezsercowych francuzic w szczeropolskie Marysieńki.

Tę francuzicę samo przeznaczenie na drodze jego życia postawiło. Mógł był ożenić się w sposób nierównie świetniejszy. Po dwa razy stał już prawie u celu swych zabiegów małżeńskich: raz gdy starano się dlań o rękę margrabianki de Vallançay, ciotecznej siostry wielkiego Kondeusza, następnie gdy był już narzeczonym siostry księcia Michała Radziwiłła, wdowy po wice-kanclerzu Leszczyńskim. Jedno spojrzenie czarnych, wielkich, w migdał wyciętych oczów Marysieńki, i jeden uśmiech jej ust drobnych, chochlikowych, obezwładniły go na zawsze.

Ktoby chciał odpowiedzieć na pytanie: dlaczego tak się stało, sięgnąćby musiał aż do źródła rzeczy i zbadać genezę podań o syrenach, rusałkach i t. p. Waliszewski nazywa w jednem miejscu Marysieńkę „grande coquette." Odpowiada to takim epitetom jak: „wielki artysta," „wielki wojownik," „wielki dyplomata."

W istocie, zalotność tej dziwnej istoty jest czemś więcej niż instynktowem uczuciem pięknej i chcącej się podobać kobiety. Widzi się w tej zalotności system, widzi się doskonale we wszystkich szczegółach obmyśloną strategię; rzecz jest tu już podniesiona do znaczenia sztuki i umiejętności.

Gdy patrzymy na rozwijający się stopniowo romans tej pary, tak bardzo niedobranej, a tak silnie zespolonej, zdaje nam się, że mamy przed oczyma pracowitą robotę pająka, który zwolna, z nadzwyczajną cierpliwością i sztuką, osnuwa niewidzialnemi nićmi olbrzymią muchę.

Alfons Karr powiedział: „istnieje pewna prawda, której nie należy wyjawiać kobietom: że najsilniej przywiązują się do nich ci, z którymi się one najgorzej obchodzą.” Marysieńka tę prawdę znała. Sobieski nigdy podobno nie czuł się przy niej zupełnie i bezpiecznie szczęśliwym. Dręczyła go na wszelkie sposoby, i jakby dla podniecenia jego rycersko-miłosnego animuszu, kłóła często już nietylko szpilkami, lecz nożami.

Czy kochała go?

Otóż to ciekawy a niełatwy do rozwiązania problemat! Zdawałoby się, że zbytecznem jest stawiać pytanie takie żonie, która przeżyła z mężem lat przeszło dwadzieścia i obdarzyła go kilkanaściorgiem dzieci. Ale znajomość serca kobiecego postąpiła dziś o tyle, że już tych dowodów za ostateczne uważać nie możemy.

Badając zblizka, krytycznie, a bez uprzedzeń charakter i usposobienie Marysieńki, przychodzi się mimowoli do wniosku, że było w niej coś chorobliwego. Gdyby żyła za dni naszych, nazwalibyśmy ją niezawodnie „histeryczką.“ Nie byłoby to zresztą niczem zadziwiającem w córce nazbyt wesołego kapitana gwardyi królewskiej. Przypuszczenie nasze stwierdza też historya jej najstarszej siostry, która przechodziła nieustannie z zadziwiającą łatwością od dewocyi do rozpusty. Jeżeli zatem histeryę Marysieńki przyjmiemy za pewnik, wyniknie ztąd rzecz dla Sobieskiego smutna. Histeryczki wogóle niezdolne są do prawdziwej, trwałej miłości. Ich system nerwowy, chorobliwie nadczuły, szybko się pobudza, ale szybciej jeszcze rozstraja.

W listach Marysieńki i w listach jej matki spotyka się częste wzmianki o „słabem zdrowiu“ żony Sobieskiego. Tem uzasadnione bywają wyjazdy Marysieńki do Paryża oraz opozycya, którą stawiają rodzice związkowi jej z Sobieskim. W jednym z listów pani d'Arquien ubolewa, że córka jej nie znalazła w Polsce „ni bien, ni santé.“ Możnaby w odpowiedzi na to zauważyć, że nie przywiozła z sobą ani jednego, ani drugiego.

Zresztą, hypoteza nasza tylko na korzyść Marysieńce wyjść może. Gdybyśmy wielu jej wybryków przed ślubem i po ślubie nie tłómaczyli chorobą, obciążyłyby one jej pamięć w sposób nierównie sromotniejszy. Wiedzieli o tych wybrykach współcześni; od współczesnych aż do nas przyszła o nich wiadomość. Jednemu tylko człowiekowi los litościwy w tym razie, przepaskę włożył na oczy. Człowiekiem tym był mąż Marysieńki. Mówią, że tak się dzieje ze wszystkimi mężami w podobnem położeniu.

Formalny i jawny tym razem ślub Marysieńki odbył się w Warszawie 6 Lipca 1665 roku. Król wyprawił nowożeńcom ucztę weselną, na której bawiono się wesoło do dnia białego. Nie wszyscy brali tę rzecz na seryo, a jeden z posłów zagranicznych nie wahał się nawet nazwać jej głośno „komedyą odegraną przez dwoje ludzi, oddawna ze sobą pożenionych.”

Wiktor Gomulicki.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z piśmiennictw obcych.

Wbrew przeciwnie, niżby się niewtajemniczonym w arcana literackiej twórczości wydawać mogło, najtrudniejszem dla powieściopisarza jest wierne oddanie obrazów wziętych z życia aktualnego. Wydarzenia dni minionych mają bądź co bądź jakiś ustalony grunt realny pod sobą, oprzeć je można często na pewnym, skonsolidowanym już w umyśle oświeconego czytelnika, kolorycie epoki, podczas gdy ta chwila obecna, taka w treści swojej nieujęta, taka niepochwytna, takie w niej wszystko niedokończone — zagadkowe — chaotyczne. Wyróżnić wśród jej objawów to, co stanowi istotę i treść momentu, umieć zaznaczyć to, co jako znamienna cecha pozostanie dla przyszłości, a przejść mimo wszelkich ubocznych zjawisk życiowych, gmatwających sobą dla niedosyć bystrego oka tło obrazu—oto zadanie dla prawdziwego daru obserwacyi i rzeczywistego talentu pisarskiego.

A świat dzisiejszy taki jest zgłodniały aktualności wszelkiej, taki niepamiętny godzin ubiegłych, taki chciwy na niknące obrazy przeżywanych dni, choćby mu te obrazy jego własną niemocą i upadkiem w oczy rzucić miały.

O tego rodzaju właśnie zadanie pokusił się we Francyi znany romansopisarz, feljetonista świetny, a przytem członek akademii Anatol France.

Wymieniliśmy z całym rozmysłem stan jego służby w tym a nie innym porządku, bo dziś we Francyi być szczęśliwym i w guście ostatnim polemistą dziennikarskim, znaczy nieskończenie więcej, niż zająć jeden z 40 foteli drzemiącego Instytutu.

Umieć pochwycić na gorącym uczynku drgające jeszcze ostatniem echem życie bieżące, i podać je czytelnikowi wraz z ostatnim skandalem i najświeższym do tego skandalu dorobionym kupletem — oto jest co się nazywa w języku paryżan: *servir chaud.*

Otóż wydaje nam się *pierścień ametystowy* p. Anatola France taką właśnie na gorąco podaną potrawą. Ma on, dla nas przynajmniej, wszelkie wymagalne przymioty podobnego frykasiku, bo niedosyć, że ostatni akt omawianego w nim dramatu stoi jeszcze ukryty dla widzów poza osłoną przyszłości, ale sos i garnitur frykasu przedziwnie do podniebień konsumentów jest przyprawiony. Wonny współczesnością ową, pieprzny do smaku, a tłusty... no tak, tłusty niby nie nadmiarę, ale w każdym razie chyba tłuściejszy, niżby na członka Instytutu Francuzkiego przystało. Ale to już wykracza nieco poza ramy naszego sprawozdania, a nawet stanowićby mogło przedmiot obszernej bardzo rozprawy, któraby poruszyła raz przecie niezbędność romansopisarzy i feljetonistów na stanowiskach członków zgromadzeń uczonych. My przejdźmy do naszego opowiadania.

Zrozumie odrazu czytelnik interes tkwiący w *pierścieniu* ametystowym, skoro mu powiemy, że wchodzi tam i sprawa Dreyfussa, że omawiają się między innemi i konflikty hiszpano-amerykańskie, a nawet sympatyczna sylwetka majora Esterhazy'ego przewija się, pozostawiając dla każdego nosa mniej zakatarzonego niż nos paryzki, woń równie gryzącą jak wstrętną.

A inne postacie działające, a światek, pod kątem którego spogląda na wypadki p. France?—zapyta czytelnik.

Światek? — przedewszystkiem posiadający, a jako taki stosownie do wymagań epoki mający pożądaną jednolitość towarzyską, wspólny, oportunistyczny poziom moralny, i jednostajną nicość w dążeniach. Czy to jest dom księstwa de Brecé, czy rodzina Bonmont, pod którą niełatwo byłoby się domyśleć świeżuteńko ubaronowanego żydowstwa — czy z początku powieści proboszcz, a następnie biskup Guitrel—czy generał Cartier de Chalmot—czy pani Courtray, wołająca przy każdej sposobności, jak przystało na damę honorową księżnej de Brecé, „niech żyje król!“—czy pani Baronowa Bonmont, protegująca pana Raoula Marcien (czytaj Esterhazy)—czy prefektowa Worms-Clavelin, wyrabiająca owo biskupstwo dla księdza Guitrel na wyścigi z panią de Gromance, choć każda wyrabia je za innego rodzaju honorarya — jednem słowem wszystko to razem, choć pozornie nie jednorodne i jednogatunkowe, ale za to harmonijnie łączące się w usiłowaniach wytworzenia dzisiejszej zatrutej atmosfery na ziemi francuzkiej.

Książę de Brecé naszkicowany jest przez autora wybornie, a jeśli nie z miłością, to z predylekcyą humorysty. Dosadniejszym w typach naszej własnej literatury powieściowej jest chyba książę Gamajda, wyszły z pod pióra Jeża. Francuzki Gamajda jako okaz jest bądź co bądź nieoceniony. Legitymista nieprzejednany, posiada wszystkie właściwości tego gatunku kopalnego, nie wyłączając encyklopedystycznej lekkomyślności w sądach i przekonaniach. Złorzeczy instytucyom republikańskim, i odpowiednio do przekonań ocenia i ludzi, i wypadki, a że ma do każdego wydziału spraw publicznych swego ministra *in partibus*, więc go ta ocena nie drogo kosztuje. Politykę, nb. wielką politykę uprawia sam z bezkłopotliwością księcia de Blacas, a sprawy wojenne zbyt wyczerpująco rozjaśnia mu generał, aby się mógł znaleźć kiedykolwiek w kłopocie.

— Co myślisz, generale, o tem starciu Hiszpanii z Ameryką? — pyta np. książę, którego wszystkie sympatye są rozumie się po stronie pokrewnej przez dynastyę swoją Hiszpanii?

— Oh! jeśli o tych tam jakichś Amerykanów chodzi, to może wasza książęca mość być spokojnym zupełnie — ci ludzie mogą mieć dobrych palaczy, a co najwyżej mechaników, ale nigdy artylerzystów marynarki wojennej.

— Uspokajasz mnie—powiada książę, i w istocie oczekuje odtąd z niezachwianą równowagą umysłu pierwszego spotkania, w którym marynarka króla jegomości hiszpańskiego da należytą nauczkę tym republikańskim kramarzom.

A innym razem, gdy idzie o tego zdrajcę Dreyfussa, jego książęca mość radby znowu mieć oczyszczone z wątpliwości swoje jaśnie

oświecone sumienie polityczne, interpeluje więc swego w sprawach wojennych informatora.

— Objaśnij mię, generale, czy możebnem jest jednakże, aby popełniło omyłkę siedmiu razem wziętych oficerów francuzkich?

— Siedmiu oficerów? Materyalne niepodobieństwo, mości książę! zupełne niepodobieństwo!

— A więc to te łotry semity... no tak, teraz już wiem wszystko!

I w istocie jego książęcej mości wydaje się, że wie, co wreszcie na jedno zupełnie wychodzi jak gdyby wiedział. A jest antysemitą książę de Brecé, zdecydowanym antysemitą—i on i jego dostojna małżonka, ale ani wiedzą oboje, jakie się na nich przygotowują zamachy. Oto w sąsiedztwie mają swoje dobra ci żydzi zbogaceni, o których oni słyszeli, ale których znać nie chcą, ci baronostwo Bonmont. Pewnego dnia młodemu żydowskiemu baronowi zachciewa się mieć wstęp na książęce parkiety, a nadwszystko na uprzywilejowane polowania, i dlatego rozpoczyna się regularne oblężenie tej fortecy, dotąd dla wszystkich takich niezdobytej. Najprzód tedy mama Bonmont poseła szczerozłote ciborium do kaplicy Matki Boskiej, czem ujętą zostaje przy pomocy proboszcza księżna Pani, ale dotąd tylko księżna sama. Zresztą i ona już na tyle wpłynęła na męża, że gdyby po tym darze matka i syn Bonmont zjawili się w zamku, musieliby być przyjęci.

To już jest coś na początek, ale to jeszcze nie wszystko, a nawet od tego do wstępu na polowania bardzo jeszcze daleko. Oblega tedy młody Bonmont w domu matki proboszcza Guitrel, ale ten, pomimo że lubi niby tego żydziaka, niemniej jednak przedstawia mu, że co niemożebne to niemożebne, że i on, pomimo, iż jest dobrze widzianym przez księcia, nie odważyłby się wnieść takiej instancyi... bo to jest wielki, bardzo wielki przywilej.

— A gdyby go tak poprosił biskup?—pyta zepsuty pieniężnik, który nie przypuszcza, aby w końcu na swojem postawić nie miał.

— Ha!.. gdyby przedstawił biskup... nb. taki, któryby panu miał coś do zawdzięczenia...

— Choćby to samo biskupstwo naprzykład?—podkreśla znacząco Bonmont.

Odtąd wiedzą już obaj, co mają o tem myśleć. Rozpoczyna się tedy taniec po ministeryach, szturmy kobietek wesołych, nacisk nawet na nuncyaturę, od której potwierdzenie przedstawianych na biskupstwa kandydatów zależy, i ostatecznie kończy się na tem, na czem się skończyć musiało; proboszcz Guitrel dostaje infułę i pastorał, a to wszystko dlatego jedynie, że się żydowskiemu wyrostkowi zażądało pozyskać pewien trudny do zdobycia przywilej towarzyski. Ominął tylko nowego biskupa przygotowany dlań przez panią Bonmont pierścień ametystowy do godności przywiązany, a to z tej racyi, że ta, piękna jeszcze pani pozostawiła go przez zapomnienie w mieszkaniu pana Raula Marcien, a do tego mieszkania zeszła delegowana w sprawie Dreyfussa rewizya, i wraz z innymi dokumentami zabrała i pierścień. Dobrze jeszcze, że nie zabrała samej mamy Bonmont, a niewiele brak było i do tego.

Okropna, bolesna, krwawa farsa, która się też prawdopodobnie niekrwawo nie będzie mogła zakończyć. Wszytko tam zdeptane, wszystko rzucone w ściek—ani człowieka czystego, ani zasady niepokalanej! Operetka policzkująca ideę na każdym kroku!

Blado też wychodzą w powieści dwaj filozofowie: profesor Bergeret i praktyczny polityk Terremondre. Teoretyzują oni ze sobą w sprawie asymilacyi żydowskiej, a że ostatni jest zażartym antysemitą, więc zwalcza gorąco jego uprzedzenia wyborny dyalektyk profesor. Ale i dyalektyka, i rezonerstwo nie wychodzą z tryumfem z tych zawiłości, a nawet sama definicya narodu przez Renana skoncypowana, którą przytacza Bergeret, jako zabójczą niby dla antysemityzmu, nie rozwiązuje zaostrzonej kwestyi.

Co stanowi naród? pyta Renan.

„Pamięć wielkich czynów dokonanych wspólnie i nadzieja tych, które mamy wspólnie dokonać,“ odpowiada on samemu sobie.

Ale gdzie są wielkie czyny dokonane wspólnie z żydami—gdzie są łatwowierni a szczerze ufający, że ich w przyszłości dokonają łącznie z takim pierwiastkiem rozkładowym?

Renana definicya przedstawia się jako określenie, i jako argument nieszczęśliwie dosyć.

S.

Na łonie przyrody.

Leżę na zeschłych igieł i liści podłożu...
Pachnące leśne zioła, wachlarze-paprocie,
Błyszczą ciemną zielenią w słonecznych strzał
[złocie...
Sosen szczyty się chwieją w błękitnem przestwo-
[rzu...

Sosnowych pni sękate wysmukłe kolumny
Nieruchomo szarzeją w zielonej gęstwinie...
Przez pachnące powietrze słowiczy śpiew płynie...
Przygłusza go za chwilę chorał lasu szumny...

Oddycham pełną piersią na łonie przyrody,
Czuję, żem znowu silny, odrodzony, młody,
Rdzeniem ducha w grunt wrosły, jak te szare
[drzewa...

Zachód złoci zwalone, mchem porosłe kłody,
U stóp szemrzą strumienia rozperlone wody
I niebo w mojej duszy cudny hejnał śpiewa!

Wacław Wolski.

Wyższe a popularne...

Bez względu na rzucającą się do oczu kontradykcyę nieuniknioną przy zestawieniu dwóch tak sprzecznych pojęć, upierają się społeczności dzisiejsze, aby je łączyć w sprawach nauczania, to jest tam właśnie, gdzie ta niestosowność wychodzi najjaskrawiej, i najwięcej wywołuje niekonsekwencyj.

Prosty, zdrowy rozsądek ostrzega, iż nic z tego, co jest istotnie wysokiem — co jako takie wymaga wyjątkowych uzdolnień albo długiego i mozolnego przygotowania, na massy całe w żaden sposób rozciągnąć się nie daje, i że to, co z ostatnich wyników wiedzy spopularyzować można jako dogmat dla tłumów, własności tego tłumu w ścisłem znaczeniu nie stanowi, bo nigdy massa śladem myśli mędrca nie szła i iść nie będzie.

O te jednakże wyniki ostatnie, albo o to, co się za nie momentalnie uważa, tak bardzo chodzi światu dzisiejszemu; o nie dobijają się zwolennicy wszelkich równouprawnień, przytem zawsze grzesznem i śmiesznem zarazem zastrzeżeniu, aby te wielkie zdobycze kosztowały pragnących ile możności najtaniej.

I to jest owo źródło, z którego wypływa wiele ujemnych objawów w życiu społeczeństw dzisiejszych, oto są sprężyny, przy pomocy których powstają wielkie akademie powierzchowności ludzkiej, i całe niezmierne zastępy wychodowanych przez nie niedouczonych, a pokłóconych z życiem i obowiązkiem.

Dla nas, którzy radzi wierzymy jeszcze we wszelkie tego rodzaju „fiat lux,“ spełniające się w umyśle ludzkim, dla nas, którzy przepadamy za różnego rodzaju latającymi uniwersytetami i wogóle za mądrością, sianą przez uczonych niedyplomowanych —dlatego właśnie tak pożądanych, że nie skutych żadną pedantyczną rutyną — dla nas może nie być bez pożytku obrazek, jaki na tém tle kreśli znany francuzki publicysta Edmund Frank.

Rzecz ma miejsce w Paryżu, a zatem w ognisku takiej improwizowanej nauki, przez którą niestety za dni naszych rozumieć należy przeważnie socyologię i biologię, w dodatku tendencyjnie naginaną do tonu panujących prądów politycznych krańcowego odcienia.

Posłuchajmy tedy Edmunda Franka.

Przed dziesięciu laty municypalność paryzka, która jak wiadomo od dawnych bardzo czasów składa się z żywiołów najskrajniejszych, przeznaczyła 56,000 franków rocznie, i oddała w gmachu ratuszowym bardzo piękną salę na taki rodzaj uniwersytetu, w którym wedle orzeczenia twórców samych nowej pedagogii społecznej, podawać miano zgłodniałym i pragnącym treść i essencyą wszystkich prawd i uogólnień filozoficznych. Tam, wedle słów deklamacyi mędrców municypalności, miano upowszechniać wiadomości zapładniające umysły i wytwarzać sądy pożądane dla demokracyi, a więc opierające się na podstawie powszechnego głosowania i na powszechnej oświacie.

Jednem słowem w programie samym leżał taki właśnie zarys nauczania wyższego popularnego, o jakiem mówimy w tytule naszego sprawozdania—a to wszystko wyrażone z napuszystością kłamstwa i kuglarstwem prospektowego zacięcia.

Przechodzącego mimo ratusza publicystę zwabiła treść odczytu, który miał za kwadrans mniej więcej nastąpić, a treść ta głosiła tezę *O ewolucyach postępu.* Dziennikarz i paryżanin wiedział przecież dobrze, co to na takiem tle nahaftować może jakiś pan,

który się tam dostał niewiadomo zkąd, ale z pewnością nie z ramienia fakultetu. Jakoż przekonamy się, że nie doświadczył on wcale zawodu.

Sala była już dosyć zapełnioną, reszta nadciągała leniwie, a różnorodność składających ją żywiołów, sama przez się objaśniała, że tak liczne audytoryum zawdzięczać będzie odczyt przeważnie dżdżystemu i zimnemu styczniowemu wieczorowi. W ostatnich rzędach jakieś postacie apatyczne, znudzone, wcale nieodpowiednio przytem do pory ubrane, odrazu oznajmiały, że tę część słuchaczów stanowią ludzie, którzy między godziną opuszczenia fabryki, a godziną otwarcia przytułków nocnych, przyszli tu przepędzić w cieple czas pewien, choćby go sobie wygodną drzemką wypełnić mieli.

Bliżej nieco zajęli miejsca ludzie tego typowego wyglądu, który mają drobni rentierzy i kramarze usunięci od interesów, nie w tym stopniu niezależni materyalnie, iżby dla nich obojętną być miała kwestya opału mieszkaniowego i jego wieczornego oświetlenia. Jakiś w manchesterowej kamizelce robotnik głuchy jak słup, który także dla odczytu nie mógł się znaleźć tutaj, jakiś stary wojskowy z podkręconymi wąsami i wyglądem apoplektyka, podobnie jak tamten nie mający z odczytem jakiejkolwiek treści, wspólności najmniejszej—dopełniali obrazu grupy drugoplanowej. Na pierwszym za to przedestradowym planie rozsiadły się te właśnie wszystkie żywioły, których spodziewał się w takiem miejscu Edmund Frank. A więc młodzież, jeśli tak z racyi wieku powiedzieć się godzi, młodzież o spojrzeniu gorączkowem, ruchach nerwowych, młode kobiety zwiędłe przedwcześnie, zaniedbane w ubraniu, apatyczne, te jednem słowem wszystkie pierwiastki ludności paryzkiej, które w godzinach zamknięcia wyrzucają na zimny bruk miejski muzea i biblioteki publiczne. W końcu nieunikniona spinster angielska z notatnikiem w ręku — jako konieczne dopełnienie każdego publicznego odczytu.

Ukazał się nakoniec i prelegent. O zewnętrznym wyglądzie jego tyle tylko da się powiedzieć wedle opowieści Franka, że streszczał w osobie swojej cechy charakterystyczne gatunku całego, a co do odczytu, to, rozumie się, że ile dało się pomieścić w ramy lekcyi publicznej ogólników, dowolności, brzmień beztreściwych, zapewnień niezniszczalnych, pomieścił je wszystkie, jakie miał pod ręką. Niebawem jednak poczuwać i on musiał, że zainteresowanie stygnie, że ten i ów ogląda się za drzwiami wyjściowemi, bo ostatecznie tirady takiej w nieskończoność ciągnąć się nie da, a więc iżby wlać słuchaczom otuchę i pozostawić ich pod wrażeniem troskliwie pielęgnowanych marzeń, zakończył zwrotem do przyszłości.

A przyszłość? panie i panowie — w czem przyszłość?

Odpowiem wam krótko: Przyszłość to nafta!!

Oto co się, widać, nazywa we Francyi nauczaniem wyższem a popularnem.

R. Kipling.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ.

Tłóm. z angielskiego M. G.

(Dalszy ciąg).

Od tej pory jego królewska mość był uprzywilejowanym gościem w domu komisarza i ulubionym towarzyszem Patsie, z którą dokazywał o ile na to miejsce i okoliczności pozwalały. Mama Patsie gotowa była zawsze do rady, pomocy i współczucia, a jeżeli było potrzeba a gości nie było, należała do zabawy z zapałem, któryby niepomału był zadziwił podwładnych jej męża, gdy ufryzowani i wystrojeni sterczeli znudzeni na krzesłach, podczas odwiedzin u komisarzowej przezwanej przez nich: „snopkiem."

Jednak pomimo Patsie i jej mamy, pomimo miłości, jaką go obie darzyły, jego królewska mość nie utrzymał się na drodze cnoty i dopuścił się grzechu—ciężkiego grzechu, przygniatającego go srogim ciężarem.

Pewnego dnia, gdy bawił się w przedsionku, a służący byli na obiedzie, przyszedł jakiś człowiek z paczką, przeznaczoną dla matki jego królewskiej mości. Położył paczkę na stole, powiedział że nie będzie odpowiedzi, i odszedł.

W tej właśnie chwili jego królewska mość przestał interesować się malowidłem na suficie, a zwrócił uwagę na biały pakiecik, ładnie owiązany, którego kształt mocno go zaciekawił. Mamy nie było w domu, miss Biddums wyszła z pokoju, a paczka owiązana była różowym sznureczkiem. Król poczuł gwałtowne pragnienie posiadania różowego sznurka. Przydałby mu się do różnych rzeczy—do ciągnienia po podłodze małego, wyplatanego krzesełka — do zaprzęgania Chima, który nie mógł się nigdy pogodzić z noszeniem szorów — i do wielu innych rzeczy. Gdyby wziął ten sznureczek, mógłby go zatrzymać na zawsze, i niktby o tem nie wiedział.

Nie mógł się zdobyć na odwagę, żeby poprosić o niego mamę. Wszedł na krzesło, starannie rozwiązał sznureczek, lecz sztywny, biały papier rozwinął się jednocześnie i ukazało się śliczne, skórzane pudełeczko ze złotymi brzeżkami! Król próbował zawinąć je napowrót w papier, ale nie mógł. Otworzył pudełko, ciekawy co jest w środku, i zobaczył prześliczną gwiazdę, która błyszczała i mieniła się różnymi kolorami.

— To pewnie gwiazda z tej korony, którą będę nosił, jak pójdę do nieba — powiedział jego królewska mość mocno zadumany.—Będę ją nosił na głowie — mówi miss Biddums. Chciałbym mieć tę koronę zaraz... Chciałbym się nią bawić.. Wezmę tę gwiazdę i będę się bawił, dopóki mama się nie spyta o nią. Może to kupiła dla mnie do zabawy, tak jak wózek?..

Jego królewska mość oszukiwał własn sumienie, i czuł to, bo natychmiast pomyślał:

— Wezmę ją i będę się bawił, dopóki mama nie spyta gdzie ona jest, a wtedy powiem: „Wziąłem ją do zabawy, ale bardzo żałuję, że to zrobiłem." Nie popsuję, bo to gwiazda z korony. Ale miss Biddums każe mi ją oddać? Schowam ją i nie pokażę miss Biddums...

Gdyby mama była nadeszła w tej chwili, wszystko byłoby dobrze. Ale nie nadeszła, a jego królewska mość pudełko z gwiazdą, pognieciony papier, sznureczek, wpakował za bluzę i pobiegł do dziecinnego pokoju.

— Jak mama zapyta, oddam jej zaraz — uspokajał swoje sumienie.

Ale mama nie zapytała wcale, i przez całe trzy dni król radował się swoim skarbem. Był on dla niego zupełnie bezpożyteczny, ale było to coś wspaniałego, coś, jak mniemał, co spadło z nieba. Mama nie pytała o nic, ale jemu zdawało się, gdy zaglądał ukradkiem do gwiazdy, że iskrzące kamienie przygasły. Na co się jednak zdało mieć gwiazdę, jeżeli to niepokoiło sumienie? Żałował też, że na sznureczku nie poprzestał. Pierwszy to raz dopuścił się podobnego grzechu i martwił się, po przeminięciu pierwszej chwili uciechy i zachwytu.

Każdy dzień zwłoki czynił niemożliwszem wyznanie tym dwojgu uroczystym istotom, królującym poza granicami dziecinnego pokoju. Król próbował od czasu do czasu zajść drogę strojnej i świetnej damie, i wytłómaczyć jej, że to on a nie kto inny jest w posiadaniu „gwiazdy z niebieskiej korony," o którą nikt nie pyta... Ale strojna dama szła śpiesznie i z pośpiechem wsiadała do powozu, i zanim jego królewska mość zdołał nabrać w piersi oddechu koniecznego do uczynienia wyznania, mijała sposobność. Tajemnica stała pomiędzy nim a miss Biddums, Patsie i komisarzową, a kiedy myślał nad tem zafrasowany, Patsie—o niesprawiedliwości!—powiedziała mu i powtórzyła mamie, że „Toly się dąsa!"

Dnie wydawały się długie jego królewskiej mości, a noce straszne. Miss Biddums niejednokrotnie mówiła mu o karach, jakie spotykają „złodziejów," więc kiedy mijał czarne i smutne mury więzienia, drżał cały od stóp, odzianych w sznurowane trzewiki, aż do czubka kędzierzawej główki.

Ale pewnego popołudnia spędzonego na puszczaniu okręcika na sadzawce w głębi ogrodu, zmienił się stan rzeczy. Jego królewska mość przyszedł na herbatę i pierwszy raz w życiu widok jedzenia wstręt w nim obudził. Nosek miał bardzo zimny, a policzki rozpalone. Nogi ciężyły mu jak ołowiane, i dotykał się co chwila głowy, ażeby się upewnić, że nie kręci się w kółko.

— Jakoś mi dziwnie—przemówił król, trąc nosek.—Tak mi coś szumi w głowie...

Poszedł spokojnie do łóżka. Miss Biddums nie było w domu, więc pokojówka rozebrała go.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Zapisy.

Z olbrzymiego strumienia bogactw, który zazwyczaj drobnemi tylko kroplami zasila niziny społeczne, spływa czasem ku nim fala złota znaczniejszą, błyszczącą kaskadą. I teraz oto, jak donoszą pisma codzienne, p. R., która po śmierci męża, znanego w sferach wielkiego przemysłu, poczyniła była przed kilku tygodniami znaczne ofiary na cele dobroczynne, składa znów ogółowi summę 500,000 rs. Korzystać z niej mają dzieci, te tysiące dzieci warszawskich, zbiedzonych, wybladłych, oddychających duszną atmosferą poddaszy i suteryn. 200,000 rs. przeznacza p. R. na rzecz kolonii letnich. Instytucya uznana za jedną z najpożyteczniejszych, ciesząca się oddawna sympatyą ogółu, który jednak drobnemi ofiarami swemi nie mógł zapewnić jej pożądanego rozwoju, zyskuje tym sposobem poważną podstawę bytu. W roku przyszłym nie usłyszymy już skarg, że tysiącom dzieci trzeba było odmawiać zapisu, nie zobaczymy zapłakanych twarzyczek tych małych więźniów miejskich, którym przecież należy się trochę powietrza i widoku przyrody rodzinnej.

Pozostałe 300,000 rs. służyć mają na urządzenie ogrodu dziecinnego na wzór parku Jordana w Krakowie. Będą tam więc zapewne gry, ćwiczenia gimnastyczne wszelkiego rodzaju i t. p.

O szczegółach programu tej nowej instytucyi poinformujemy czytelników, skoro tylko skrystalizuje się on w pewne określone formy.

Praca kobiet.

Urząd lekarski m. Warszawy poruszył pytanie czy kobiety mogą pracować w składach aptecznych i farb w charakterze pomocników, i korzystać ze wszystkich praw nadanych przez ustawę dla właścicieli składów aptecznych mężczyzn?

Ponieważ departament lekarski nie znajduje przeszkód do pozwalania kobietom na pracę w składach aptecznych, przeto Generał-Gubernator warszawski nie widzi ze swej strony również żadnych szczególnych powodów do usuwania kobiet z tego pola pracy zarobkowej. Sprawa jest więc stanowczo rozstrzygniętą.

Szkolnictwo polskie w Stanach Zjednoczonych.

Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych istnieje system swobodnego nauczania. Każdy, kto chce, zakładać może szkołę i nakreślać jej program podług swego uznania. Kościół katolicki korzystając z tej swobody tworzy wiele zakładów naukowych. Każda parafia polska ma szkółkę, którą jednakże prowadzą najczęściej organiści, niedostatecznie pod względem pedagogicznym przysposobieni do podobnej pracy. Wyższe szkoły początkowe zostają pod kierunkiem zakonnic Felicyanek i sióstr niemieckiej kongregacyi Notre-Dame. Nauka trwa lat 6, język wykładowy polski. Pomimo to dzieci źle mówią po polsku, ponieważ w szkole i poza szkołą najczęściej i najchętniej używają języka angielskiego. Program tych szkół początkowych obejmuje naukę religii, języka polskiego i angielskiego, arytmetyki, kaligrafii, historyi Polski w obrazach, śpiewu i gimnastyki. Średnich zakładów naukowych polskich jest w Stanach Zjednoczonych trzy, mianowicie w Chicago, w Milwuake i w Detroit. Kurs jest tylko trzyletni i obejmuje: język polski, niemiecki i angielski, matematykę, fizykę, rysunki, a wreszcie (prawdziwie po amerykańsku) buchhalteryę, stenografię i pisanie na maszynie.

W Detroit istnieje także seminaryum polskie, założone przez ks. Józefa Dąbrowskiego. Liczy ono 170 uczniów. Wyszło z niego 20 księży i wiele młodzieży, która obrała sobie następnie zawody lekarzy, kupców lub prawników.

Zarówno gimnazyum jak i seminaryum (obydwa pod jednym kierunkiem) stoją podobno bardzo wysoko jako zakłady naukowo-wychowawcze. Stosunki między nauczycielami i uczniami wzorowe, zakład robi wrażenie jednej wielkiej rodziny, i pod każdym względem przewyższa podobne instytucye angielsko-amerykańskie.

Taż sama korespondencya w niepochlebnem bardzo świetle wystawia ogół intelligencyi polskiej w Stanach Zjednoczonych. Pierwsze miejsce przyznaje duchownym, mającym bardzo doniosły wpływ na ludność polską. Po nich możnaby postawić lekarzy, gdyby do stanu tego nie zaliczali się także felczerzy i aptekarze. Co do dziennikarzy, ci bardzo często rozmijają się z przepisami ortografii (czyż to tylko w Stanach Zjednoczonych). Polemika pism polskich zasadza się na osobistych napaściach, ubarwionych dosadnością wyrażeń. Polityk uprawia się dwie: własną i amerykańską. Polacy dzielą się na dwa stronnictwa: konserwatywne i liberalne. Stronnictwa te walczą ze sobą w swoich organach.

Co do polityki amerykańskiej, służy się zazwyczaj więcej dającemu, co zresztą w Ameryce jest rzeczą bardzo zwyczajną. Młode pokolenie jest mocno wynarodowione i zapomina powoli języka ojczystego.

Podajemy tu informacye te, nie uważając ich jednak za zupełnie dokładne.

Zakład św. Stanisława Kostki.

Za pośrednictwem opiekunek tej instytucyi dowiadujemy się, że w zakładzie mieszczącym się przy ulicy Dzielnej pod Nr. 39 jest ogółem pensyonarzy 130. Pomiędzy nieuleczalnemi znajduje się 40 dziewcząt niezaliczonych wprawdzie do kategoryi najsmutniejszej, ale są to w każdym razie kaleki; są garbate, kulawe, ociemniałe i t. p.

Dawniej, za życia mianowicie ś. p. Józefy hr. Roztworowskiej dzieci te zabierane były na miesiące letnie do dóbr ofiarodawczyni i opiekunki zakładu; obecnie dobrodziejstwo to ustało. To też po śmierci hr. Roztworowskiej, zawiadująca przytułkiem siostra Julia nie znalazłszy dotąd nikogo, ktoby chciał zmarłą w tem dziele chrześcijańskiego miłosierdzia zastąpić, zmuszona się widzi za pośrednictwem pism odwołać się do zamieszkałych na wsi ludzi dobrej woli, którzyby po kilka takich sierot na letnie wakacyjne miesiące zabrać do siebie chcieli. Przełożona zakładu ułatwia zadanie osobom miłosiernym, dobierając tak kandydatki, iżby nigdy w jedno miejsce samych ociemniałych naprzykład nie wysyłać. O tyle więc mniej dzieci takie wymagają nadzoru, że są oddawna nazwyczajone pomagać sobie wzajemnie i opiekować się sobą. Dotąd z całej liczby 40 wyjechało na miesiące letnie tylko sześć.

Zawiadomić nadto czujemy się w obowiązku czytelników naszych, że przy zakładzie św. Stanisława Kostki znajduje się „Żłobek,“ w którym pozostawiają dzieci swoje matki idące do pracy zarobkowej.

Wianki.

Pomimo nawałnicy popołudniowej, która zdawało się, że wywoła odroczenie dorocznej zabawy do pogodniejszego dnia, odbyła się ona wedle zapowiedzianego programu i jego daty. Wianki korporacyjne, t. zw. korowody łodzi dekorowanych, transparenty, ognie sztuczne, chóry śpiewaków, i sobótki nakoniec, dotrzymały wytrwalszych zwolenników świętojańskiej uroczystości do samej północy. Nie było nic nowego w tegorocznej wiankowej zabawie, a jeśli znalazłoby się coś na miejscu, o czem wspomnieć warto w sprawozdaniu, to chyba to przeżywanie się widoczne tradycyjnej rozrywki, która przed laty posiadała istotnie własność ściągania tłumów. W one czasy ani te grupy nie były tak artystycznie obmyślane, ani oświetlenie takie kunsztowne, ani chóry wyuczone i mogące dać zadowolenie wybredniejszemu nawet muzykalnemu smakowi, a przecież wianki miały swój czar niezaprzeczony; wyglądano ich gdy się zbliżały, i cieszono się nimi gdy nadeszły. Możeśmy wtedy mieli mniejsze wymagania, może było mniej rozrywek niż dzisiaj, a może wogóle młodszym i przystępniejszym uciesze był człowiek, który nas poprzedził.

Tak jest! do zabawy trzeba młodości—prawdziwej młodości.

Wskazówki i rady.

Wyborny ser z masłem robiony z sera.

Sześć funtów świeżego dobrego sera połamać czyli raczej pokruszyć w czystym pobielanym rondlu, postawić na wolnym ogniu i drewnianą kopystką (płaska łopatka) nie łyżką, mieszać, rozcierać, przewracać dopóki się nie zamieni na jednolitą massę w ciągu czego pokazującą się serwatkę odlewać ciągle. Funt najlepszego świeżego masła włożyć w ten utarty ser i znowu mieszać, przewracać, żeby się massa zrównała. Wtedy wsypać soli i kminku do smaku, wlać kwartę dobrej gęstej śmietany, ale bardzo gęstej, i znowu mieszać zdjąwszy z większego ognia na zupełnie mały, tak długo aż się zrobi równe jakby samo masło. Mieć blaszane lub fajansowe kubki czy garnuszki półkwartowe, wylać je serwatką żeby wilgotne były i gorący ser w nie nakładać W kilka godzin, gdy wystygnie, okroić cienkim nożykiem ser wokoło kubka, mieć przygotowany papier cynfoliowy (cynkfolia), zawijać zręcznie w niego i jeść ze smakiem choćby na drugi dzień po zrobieniu.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Wiktor Gomulicki: Wyzwolona, karta z życia (ciąg dalszy). — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Marysieńka, portret historyczny (dalszy ciąg). — Z piśmiennictw obcych. — Wacław Wolski: Na łonie przyrody, sonet. — Wyższe a popularne...—R. Kipling: Jego królewska mość (dalszy ciąg).— Kronika. — Wskazówki i rady.—Ogłoszenia—Edmund Chojecki: Alkhadar powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).



Oryginalna Kathreinera
KAWA SŁODOWA KNEIPPA

jest sprzedawaną tylko w zamkniętych plombowanych pakietach. Opatentowany ten artykuł jest cokolwiek droższy od wszystkich naśladownictw, odznacza się za to smakiem i aromatem kawy ziarnistej oraz wieloma innemi zaletami, których bezwartościowe wyroby konkurencyi zupełnie nie posiadają. 81B

Monachium, Akc. Tow. „Livonia“—Ryga.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa
H. KIEFFER i S-ka 33
w Warszawie, Bielańska Nr. 4, drugi dom od Senatorskiej
Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonywa obstalunki, pokrycia i reperacye.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*
p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński
poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-30

Proszę zwrócić uwagę na markę ochronną.

PAROWA FABRYKA
Kawy Palonej



pod firmą
IMPORT KAWY
L. B. Jankiewicz,
Warszawa, Leszno 68. Telefon.

POLECA
KAWY PALONE,
!! Codziennie świeże !!

a szczególnie:

Gospodarską	№ **2**	za funt	rb.	0.65
„	№ **1**	„ „	rb.	0.75
Mięszanki:				
Karlsbadzką		„ „	rb.	0.85
Wiesbadeńską		„ „	rb.	1.00
Wiedeńską		„ „	rb.	1.10
Wyłącznie na czarne kawy:				
Deserową	№ **2**	. . . za funt	rb.	1.15
„	№ **1**	. . . „ „	rb.	1.20

W oryginalnych opakowaniach od $1/1$ — $1/2$ — $1/4$ — $1/8$ funta opatrzonych banderolą i znakiem ochronnym.

Sprzedaż detaliczna we wszystkich handlach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi, oraz Składach Win zagranicznych **Caves du Grand Hôtel de l'Europe** ulica **Czysta; Grand Caves de Bordeaux, Mazowiecka 20 i J. A. Stegmann, Marszałkowska róg Chmielnej.** 54

Fabryka Gorsetów WIŚNIEWSKIEJ
PRZENIESIONA
Czysta Nr. 8,
poleca gorsety skośne w najpiękniejszych fasonach od 6 rubli.
79 *Marja Wiśniewska.*

SKŁAD MEBLI
Majstrów Stolarskich
A. KLIPPEL i S-ka
ulica Erywańska № 9. 987—25—20

!! Dla tego tanio, bo na 1-em piętrze !!
Dywany, materyały meblowe, firanki, serwety, kapy, kołdry, chodniki, ceraty i t. p.
w składzie **H. Radeckiego**
Marszałkowska ***Nr. 112.*** 1-sze piętro pomiędzy Chmielną i Złotą.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 65

Pracownia Sukien i Okryć Damskich
b. krojczyni firmy ***B. Herse.***
JADWIGI ESMAN, 64
KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE, HOTEL SASKI 116, 1-e piętro.
Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach **w Paryżu** jak: **Rouff, Felix i Doucet**, następnie zarządzając czas dłuższy pracownią W-go Hersego, obecnie przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres konfekcyi damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów. Obstalunki na prowincje wykonywa się podług przysłanej miary.

BIURO NAUCZYCIELSKIE!
BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ
Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. ***Rekomenduje*** nauczycieli, nauczycielki bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyzka 44.** 963—25—21

Tanio, bo w mieszkaniu!
NOWOOTWORZONY SKŁAD
Wyrobów Płóciennych i Bawełnianych
M. RYCHTERMANA
Senatorska 28 lokalu 25.
Poleca płótna, madepolany, batysty, bieliznę stołową, firanki i trykotaże etc. z fabryk krajowych i zagranicznych w gatunkach najlepszych.
Ceny niezwykle przystępne i stałe. 80

„Kuryer Codzienny“
rozpoczął w odcinku druk nowelli Zygmunta Sarneckiego p. t. „MURZYN,“ następnie zamieści utwór Michała Bałuckiego p. t. „PAMIĘTNIK MUNIA“ i Elizy Orzeszkowej „DYMY,“ a po ich ukończeniu obszerniejszą powieść współczesną Artura Gruszeckiego.

Cena „Kuryera Codziennego“ wynosi: w Warszawie: rocznie rub. 6, półrocznie rub. 3, kwartalnie rub. 1 kop. 50, miesięcznie kop. 50; na prowincyi: rocznie rub. 9, półrocznie rub. 4 kop. 50, kwartalnie rub. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75.

☞ Wszelkie przesyłki pieniężne najlepiej adresować wprost pod adresem administracyi „Kuryera Codziennego“ Warszawa, Krakowskie-Przedmieście N-r 17 (Telefonu N-r 413).

☞ Każdy prenumerator „Kuryera Codzien.“ otrzyma w końcu każdego kwartału r. b.
tom Poezyi SŁOWACKIEGO.
Pragnący odbierać Poezye Słowackiego w oprawie, zechcą nadsyłać **na koszty oprawy po 15 kop.** do każdego tomu. 82

Dozwolone przez Warszawski Urząd Lekarski na ogólnych zasadach handlu



„WENEZUELA“
wynalazku
SZYMONA KOHENA
w Warszawie.
Usuwa **piegi i plamy skórne,** oraz udelikatnia, gładzi i nadaje białość cerze. **Sprzedaż** w składach Aptecznych i Perfumerjach. 68
Główny skład Dzika № 9.
Słoik 75 kop.



K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—53—46

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15. 30 i 50.
Główny Skład Solna № 9.
987—2?—24

RESZTKI
materyałów bławatnych, podszewki krawieckie, madepalam poleca **bardzo tanio**
W. MORGENSTERN
70 ***Graniczna № 9, m. 10.***

☞ **Nowa Pracownia!**
Po długoletniej praktyce za granicą i w kraju, otworzyłem pracownię okryć i kostyumów damskich (genré tailleur). Specyalność kostyumy sportowe. Niniejszem mam zaszczyt polecić się JW. i W. Paniom.

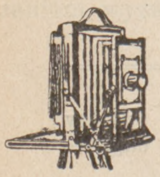
Z uszanowaniem
Jan Bydliński
53 krawiec damski i męzki.
Nowogrodzka 17.

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki
i t. p. poleca 27
Pracownia Jubilerska
J. LIPOWSKI i S-ka
Krak.-Przedm. 71 m. 9, I-sze piętro.
Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne.

MAGAZYN MEBLI
ANTONIEGO STRÓMIŁO
Bracka Nr. 25.
Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.
CENY NIZKIE. 947-25-22

Łyżki, widelce, noże,
oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem po cenach możliwie nizkich
TEOFIL PYCZ 21
4, Miodowa 4, w Warszawie.

Skład aparatów i potrzeb do fotografii
P. LEBIEDZIŃSKIEGO
Warszawa. Krak.-Przedmieście № 65, I-sze piętro.



POLECA: Aparaty fotograficzne ręczne najnowszej konstrukcyi od rs. **6** do **200**. Aparaty fotograficzne podróżne. Klisze, papiery fotograficzne, chemikalja i wszelkie potrzeby do fotografii. **Towar tylko wyborowy. Wielki wybór nowości.** Cennik illustrowany gratis i franco. Pozostałe z zeszłorocznego sezonu: Aparaty fotograficzne nowe i używane—wyprzedają się z ustępstwem 30—50%. 50

Zakład Stolarski
D. SIARKIEWICZA
w Warszawie,
Grzybowska Nr. 62.
Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe budowlane, urządzenia sklepowe i t. d. Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 19

Pierwszorzędne biuro **Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie-Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—25

APTEKA K. WENDY
45. Krakowskie Przedmieście 45.
45 **w Warszawie.**

Wszelkie nowe środki lekarskie.
Wina lecznicze,
Wody mineralne.

Дозволено Цензурою Варшава, 16 Іюня 1899 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Juliusz potrafił wtrącić nawiasem uwagę, że Wilczek wyszedł dziś z domu wbrew radom lekarza i przyjaciół, ale że niepodobna go było utrzymać, tak dalece ciężył mu na sercu święty dług odwiedzin i troskliwości bankiera.

Dahlman klepał się po kieszeniach, pobrząkiwał pieniędzmi, pękał od śmiechu — tym bowiem zwykle sposobem, gdy mu zbywało na słowach. wyrażał wewnętrzne zadowolenie.

Nieobecność panny Karoliny silnie wygadzała Wilczkowi. On, który z dumnem czołem roztrącał dostojne tłumy towarzystw stolicy, on, którego przytomność umysłu rozjaśniała się z wagą wypadku, położenia, z niebezpieczeństwem — teraz, po pamiętnej na polowaniu rozmowie z Juliuszem, wstępował w progi bankiera drżący, zmięszany, jak gdyby zakradał się z niecnymi zamiary, jak gdyby lękał się być schwytanym na gorącym uczynku. Na grzeczności Dahlmana z trudnością znajdował odpowiedzi, potakiwał Juliuszowi, słaniał się na nogach, lub wpadał w niegodne swego dowcipu ogólniki. Blade jego oblicze i rozgłoszona słabość wybornie mu tym razem posłużyły do wytłumaczenia, niepojętego w innych warunkach, rozprzęgu myśli. Bankier z tem żywszem spółczuciem przyjmował pożądanego gościa, zatrzymał go na cały wieczór, a niechcąc trudzić rozmową, poprowadził do wistowego stolika.

Juliusz niewiadomo dla czego, wymówił się od kart; partya i bez niego była zupełną — prosił o pozwolenie przypatrywania się grze Dahlmana, który uchodził w mieście za gracza, rzucającego się z niesłychanem szczęściem, w tak zwane impassy.

W głębi duszy inne zapewne ukrywał cele, dla których wygodniej mu było nie przykuwać się do jednego miejsca.

Niebawem, zaszemrał lekki krok niewieści; jedynaczka bankiera weszła do salonu.

Panna Karolina Dahlman nie zastanawiała wzroku na pierwsze wejrzenie; bliżej się w nią wpatrzywszy, jeszcze nie było nad czem się zastanawiać. Wysoka, szczupła twarz, miała nieposzlakowanej regularności, włosy jasne i gładkie, oczy blado błękitne, stworzone do rozróżniania kolorów — innego wyrazu trudno było w nich upatrzeć. Że była żywą, a raczej żyjącą, nie podpadało wątpieniu; przenosiła się z miejsca na miejsce, wstawała i mrużyła powieki, odpowiadała na zapytania, wydawała służbie lakoniczne rozkazy, rumieniła się nawet, gdy kto z niezwykłych gości pierwszy raz do niej przemawiał. Zdolności ku innym wzruszeniom niepodobna było w niej odgadnąć; zdawało się, że gdyby ziemia do dna się zatrzęsła, panna Karolina, jak posąg, byłaby zapadła w otchłań, nie ugiąwszy nawet kolan.

Strój jej niczem nie nęcił, niczem nie raził; wiarogodne osoby naznaczały jej kolory właściwe jasnowłosym postaciom. Dziedziczka bankiera znała tylko trzy barwy: białą, błękitną i różową; najdroższa w mieście modniarka samowładnie rozrządzała resztą szczegółów.

Wpływ ojca na gotowalnię córki zdradzały klejnoty, dyamenty, które Dahlman z uczuciem niewysłowionej dumy rozwieszał na swej jedynaczce.

Panna Karolina z posłuszeństwa dla ojcowskiej woli byłaby chętnie, spokojnie wdziała na głowę chociażby chińską pagodę.

Zdanie ojca było dla niej jednym z głównych warunków do życia; potrzebowała nieustannie czuć się na niem opartą, odwoływać się do jego wyroku we wszystkich prawie szczegółach powszedniego bytu.

Przykładne to zaufanie w rodzicielskiem doświadczeniu, wyzwalało ją od kłopotów samodzielnej myśli, własnych postanowień, wstępnego działania i nadto, darzyło niezachwianym spokojem, obiecywało długą ochronę oblicza od przedwczesnych zmarszczków. Wnioskując systematycznie, panna Karolina mogła trwać równie długo jak dobre zegarki Bregueta, wiadomo zaś, że zegarkom Bregueta regularnie nakręcanym i starannie utrzymywanym, trudno naznaczyć kresu.

Błoga ta spokojność cichej, stojącej wody, rozlana na jej licu, znalazła znawców i wielbicieli.

Nie mogło być inaczej; imię panny Karoliny stało połączone dwoma równoległemi kreskami, czyli znakiem porównania z ostateczną cyfrą aktywów na bilansie bankiera. Juliusz widział w niej Galateę oczekującą na Prometeusza, podziwiał angielski rodzaj piękności, wybornie przypadający do smaku ludziom zamiłowanym w folblutach i w hunterach. Wilczek przez długi czas nie pamiętał nawet, jak wyglądała.

Za wkroczeniem młodej gospodyni, goście powstali; grzeczność nakazywała przerwać milczącą rozrywkę, Dahlman atoli miał koronę w ręku, zabierał się do dania wielkiego szlema, wstrzymał więc kawalerskie grających zapędy i wist potoczył się dalej.

Juliusz odsunął się od graczów, poszedł zabawiać pannę Karolinę, pomagać jej w przyrządzaniu herbaty. Przyzwawszy w pomoc co najwymuszańsze ogólniki, co najłatwiejsze do pojęcia dowcipy, co najzabawniejsze anegdoty, rozbudził, rozweselił sąsiadkę, wywołał na jej usta szczery uśmiech, dopytał się kilku złożonych odpowiedzi.

Po chwili półgłośnej rozmowy, powstał, zbliżył się do zielonego stolika; gra rosła w zaciętość, bankier dopuszczał się niesłychanych impassów; los sypał mu w dłonie kozer i figur bez liku.

Zaciągało się na długie posiedzenie.

Juliusz wtrącił uwagę, że konieczne natężenie umysłu w sprawie z tak silnym przeciwnikiem, jakim był Dahlman, mogło szkodliwie poskutkować na wątłe jeszcze zdrowie przyjaciela; ofiarował się zastąpić go, przejąć grę na siebie, a wyjednawszy ogólną zgodę, siadł naprzeciw bankiera, Wilczkowi zaś zaniechał zbliżenie się do gospodyni domu.

Panna Karolina pomimo obojętności swojej, spoglądała przecie z pod oka na bożyszcze lwowskiego towarzystwa, a nawet pierwszych domów stolicy, jako głosiła sława.

Młody Graf wydawał się jej jedną z tych uroczystych postaci, opatrzonych stemplem powszechnego podziwu, o której przymiotach nie wolno było powątpiewać pod zarzutem gminnego smaku. Ztąd też w każdem słowie, w każdem obejściu znakomitego gościa, widziała ideał wykwintnego tonu, doskonałość nad wszelki wyraz. — Rozmowa z człowiekiem podobnej wagi, myślała nieraz w duszy, musiała być nader trudną; wyrównać mu w dowcipie, w blasku — było niepodobna; milczeć lub wyrwać się z niewczesną odpowiedzią? — córka bankiera na samą tę myśl drżała z obawy.

Szczęściem, Wilczek siedział przy kartach zbliżeniem się nie zagrażał; panna Karolina ochłonęła z pierwszego wrażenia, nabrała odwagi i rada z odwleczonego niebezpieczeństwa, swobodnie dała pociągnąć się rozpowiadaniom Juliusza.

Powoli, zwykły spokój wracał jej do duszy; ugłaskana jedwabiem słów zręcznego towarzysza, zaczynała wzmagać się w zaufanie, częściej zwracać wzrok ku zielonemu stolikowi, żałować może nawet, że młody panicz oddawał się wyłącznie nudnej, milczącej rozrywce.

W tejże chwili Juliusz wykonał głęboko przemyślany obrót. Ruch wszczął się przy stoliku; Wilczek powstał, popatrzył jakiś czas na grę i z niechcenia niby, zbliżył się ku gospodyni domu.

Panna Karolina spuściła oczy, imbryk za drżał jej w ręku; byłaby chciała skryć się pod ziemię przed nieopatrznie wywołanem spotkaniem. Wilczek atoli wcale nie miał na myśli olśnienia mieszczańskiej dziewczyny wyostrzoną rozmową, sam czuł się w dziwnem usposobieniu, sam potrzebował otuchy; przystępował nieśmiało, jak gdyby za obecność swą żądał przebaczenia.

Choroba jego, powszechnie wiadoma klęska pożaru, podały pannie Dahlman wygodne tło pierwszej zaczepki. Wilczek porywczo chwycił gałązkę ratunku, wdał się w szczegóły wypadku, przeszedł w łagodny opis frasunków wiejskiego życia i trosk osamotnienia; rzucił się w proste opowiadanie, wymagające raczej spółczucia, niż czynnego uczestnictwa, i był pewnym, że znalazł takowe w utkwionych mu w obliczu oczach córki bankiera.

Prysły pierwsze lody; panna Karolina przekonała się, że święci garnków nie lepią, że z ludźmi z wielkiego świata łatwiej było zrozumieć się, niż ze wszystkiemi kupieckiemi znajomościami jej ojca. które nazewnątrz han-

dlarskich przebiegów i rubasznych targowych sprawozdań, odstręczały czczością swego nastroju.

Poufała grzeczność obejścia hrabiego, swobodnie czas pędziła przed sobą; młoda gospodyni nie spostrzegła się, kiedy wybiła północ, z niemiłem zadziwieniem ujrzała towarzystwo wstające od stolika, gdzie Dahlman cały rozjaśniony weselem, zapisywał dowody biegłości swej i niesłychanego szczęścia.

Bankier dziękował Wilczkowi za odwiedziny, sam wypędzał go do domu, do łóżka, trząsł się od śmiechu, i znowu dziękował, i znów śmiał się na całe gardło. Wszyscy byli zadowoleni, dwaj nawet przeciwnicy Dahlmana niemiłosiernie ograni, uśmiechali się kwaśno dla przeświadczenia o obojętności na niefortunne losy.

Juliusz wychodząc, szepnął do ucha bankierowi kilka słów zaprosin na obiad, nazajutrz, *in gratiam* powrotu przyjaciela do zdrowia, otrzymał w odpowiedzi serdeczne uściśnienie ręki i konwulsyjny wybuch śmiechu, którego hałaśny odgłos na ulicy jeszcze ścigał odchodzących.

I któż nie zgadnie, że nazajutrz bankier w szczupłem gronie wybranych z arystokracyi i z urzędnictwa lwowskiego, zasiadał na pierwszem miejscu, że ku niemu co chwila obracała się rozmowa, że zdaniom jego przysłuchiwano się z głęboką uwagą i poklaskiwano bystrości jego sądów, że wnoszono jego zdrowie i z wdzięcznym pokłonem odpowiadano na jego toasty.

Dahlman pławił się w obłokach lubo upajających kadzideł, zwał Wilczka po imieniu, klepał Juliusza po ramionach, sam sobie nie wierzył, że był zbogaconym handlarzem; wpadała mu niekiedy do głowy dziwaczna myśl, czyli nie należało mu uważać się za podrzutka—za tajemniczy zakład miłości którego z Arcyksiążąt?

Przypuszczenie to nie było bezzasadnem raz dla pewnych pańskich zachceń, dla [illegible] oczywiście niepospolitej krwi, ja[illegible]ętna w sobie poczuwał, następnie [illegible]ą bankier podobieństwa w rysach [illegible] dla szczególnego sie i w ustach, [illegible] zwłaszcza zaś w nowejrzenie spo[illegible] jakie każdy na pierwsze nieżniki[illegible]strzegał między lwowskim piebur[illegible]m, a rodziną lotaryngskich Habs[illegible]gów.

Po obiedzie, gdy rozeszła się większa część zaproszonych, Juliusz wspomniał o konieczności wynalezienia we Lwowie łaskawego domu, któryby nakształt pałacu księcia kanclerza lub hotelu posła angielskiego w Wiedniu, otwierał się co wieczór dla kilku poufałych przyjaciół i lubowników gry w wista.

Dahlman wyruszył z ofiarą swoich salonów; Juliusz prędzej jeszcze pospieszył z przyjęciem ofiary. Plac boju był zdobyty; ostateczne zwycięztwo nie mogło umknąć biegłemu dowódcy wyprawy.

Wilczek bezwładnie dawał się unosić wpływom powiernika; zaczynał może poznawać, że w porównaniu do zagrażającego mu ciosu, lekarstwo nie było zbyt gorzkiem, wdrażał się w codzienne posiedzenia u bankiera, w rozmowy z jego córką, której potulna dobroć i niezachwiany spokój, samem przeciwieństwem nęciły istotę jego skołataną gwałtownemi wzruszeniami.

Wilczek sam jeden był na ziemi; nikt nie miał prawa sprzeciwiać się jego woli, mógł dowolnie sobą rozrządzać i co więcej, powagą stanowiska zmuszał wszystkich do chylenia czoła przed każdem, choćby najdziwaczniejszem postanowieniem.

Podobnej treści zagadka krążyła w tej chwili po umyśle Dahlmana; bankier atoli z większą pewnością przystępował do wywikłania prawdziwych wniosków.

Wilczek niewątpliwie zalecał się mu do córki, naprzód jako do dziewczyny rzadkiego rozumu, niezaprzeczonych zalet i z powierzchowności — wcale niczego. Karolcia przypominała matkę, ś. p. Dorotę z Sandwirblów Dahlmanowę, córkę zamożnego garbarza z Ołomuńca. Z ojcem dziewczę miało wiele podobieństwa w oczach i przymiotach duszy jako to w dowcipie, w gospodarności i w znawstwie na interesach.

Bankier więc, jak powiadam, odgadywał prawdę, ale postanowienia swego naprzód nie układał; przyzwyczajony do działania w[illegible] partego na faktach, nigdy zaś na przypu[illegible]szczeniach, czekał na wystąpienie z ode[illegible]wą ze strony interesowanych. Tymczasem szeroko korzystał z wygód, jakie mu przyn[illegible]siły zalecanki magnata do córki, przyjmo[illegible]wał grzeczności, pozwalał sobie pochlebia[illegible], łaskawie dawał się zapraszać, coraz do[illegible]ośniej i poufalej głos zabierał, chłonął w [illegible]ebie lube kadzidło, i rozkosznie kołysał pa[illegible]ą próżność dorobkowicza. Życie to prz[illegible]ypadało mu do smaku; rad byłby wyciąg[illegible]ąć je w nieskończoność, tembardziej, że [illegible]rogie onegoż słodycze spływały nań bez [illegible] żadnych kosztów, wydatków, brzęczących [illegible] powetowań.

Wpraw[illegible]dzie Dahlman nieraz spostrzegał, że usiłowa[illegible]no go wybadać, że wyciągano go na słow[illegible], że żądano, aby wzamian za wyświadcz[illegible]ne względy raczył odkryć dno swojej myśli — ale usilne nawet nakręty Juliusza nie trafiały do celu; bankier udawał, że niczego się nie dorozumiewa, że wcale nie ciekawy wyjaśnienia rzucanych mu dwuznacznych słów. Znaglony czasem podstępnym obrotem do wyraźniejszej odpowiedzi, uciekał do zwykłego wybiegu, wybuchał grzmiącym śmiechem, skręcał z niechcenia rzecz na całkiem odmienne szlaki, nie bacząc na niecierpliwość, jaką wzniecały do koła uporne jego fortele.

Dziecinna ta gonitwa, płocha gra w chowanego, oczywiście długo trwać nie mogły; prawda, prędzej czy później musiała na jaw wypełznąć.

Dahlman dla wszelkiego bezpieczeństwa zarządził tajemne śledztwo nad majątkiem zalotnika.

Włosy powstały mu na głowie, dreszcz zgrozy przebiegł po kościach.

Wilczek siedział w długach po uszy — ba, nawet i nie po uszy! — z głową w nich tonął.

Gdyby bankier był słuchał pierwszego głosu serca, pierwszego krzyku rozumu — jednym zamachem byłby wypędził z domu świętokradcę, który odłużoną swoją osobą, poważał się bezcześcić dom jego—świątynię kredytu i niczachwianych aktywów.

I z takim to wyrzutkiem społeczeństwa, bankier poufalił się, za pan brat przestawał, brał go publicznie pod rękę, zap[illegible]arzał as obiady i sadowił na pierwszem miejscu!... Gorzka ironia — wstyd nieopisany, gdyby się dowiedziano na giełdzie!... Miałżeby ostani kramarz silniej czuć własną godność, aniżeli Dahlman i S-ka?..

Myśl, że człowiek ogołocony z kredytu zalecał się do Karolci, krew mu pędziła do mózgu; obliczem pomimo to nie zdradzał najmniejszego wzruszenia — z pozoru niepodobna było odgadnąć, jakie niepokoje udręczały mu duszę.

Innym razem, gdy sam przed sobą chciał się usprawiedliwić, wpadał na odmienny tor uwag.

Nieszczęsny ten wywłaszczeniec w niedalekiej przyszłości nadużywał jego łaski — łaski moralnej, ma się rozumieć, o pożyczkę bowiem dotąd ust nie otworzył; ależ ostatecznie co zacz był ten człowiek?... Hrabia Wilczek!... — świetne nazwisko, znakomity ród, przyjaciel, jak wieść głosiła, samego księcia kanclerza, poufały znajomy wielkich dygnitarzów cesarskiego dworu, człowiek wysoko ceniony w pierwszych towarzystwach stolicy, pan z krwi i z obejścia, magnat, przed którym miejscowe władze z pośpiechem uchylały kapelusza.

Dahlman na samo wspomnienie tylu potęg, kłaniał się, choć nikogo przed nim nie było, podwajał ku Wilczkowi uprzejmości, jak gdyby pragnął przebłagać go za wymarzone jakieś uchybienia, serdeczniej jeszcze śmiał się na widok dostojnego przyjaciela, usiłował wmówić w siebie, że obrzydłe passiva hrabiego były bezzasadną plotką, której człowiek z jego doświadczeniem nie powinien był dać się uwodzić.

Usposobienia córki, skłonność jej lub obojętność ku zalotnikowi, mało go obchodziły; bankier był przekonanym, że posłuszne dziecko wykona ojcowskie rozkazy, i w wykonaniu tychże rozkazów znajdzie jedyne szczęście.

Tymczasem opędzał się zaczepkom i czekał... czego?... może szczęśliwej chwili, natchnienia, zbawczej myśli, któraby zabezpieczyła mu zewsząd korzyści i zewsząd zasłoniła go przeciw stratom.

Ha, gdyby Wilczek mógł jakim cudem przekonać go o bajeczności grzechów swej hypoteki, gdyby mógł wygrać wielki los na loteryi!... Nieoceniony chłopiec!... stał mu u nóg całe towarzystwo—dom w modę wprowadził.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).